Bezpłatny dodatek do Nr 66. „Głosu Narodu“

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 10 — Kraków, niedziela, dnia 7 marca 1937 r. — Rok II

Dr EMILIAN OSTACHOWSKI

Pierwszy w Polsce podręcznik chemii

Za rok stulecie zgonu Jędrzeja Sniadeckiego

Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie miał w swoich dziejach chwile, w których jego znaczenie i wpływ promieniowały na całą Polskę, a nawet poza granice naszej Ojczyzny. Było to wkrótce po utracie niepodległości politycznej, kiedy kuratorem wileńskiego okręgu naukowego był Adam Czartoryski, a wizytatorem Tadeusz Czacki. Wśród profesorów Uniwersytetu, uczonych przyrodników i lekarzy, którzy cieszyli się sławą wszechświatową, był Jędrzej Śniadecki, pierwszy, który chemię po polsku wykładał. Niedoceniony za życia, zapomniany po śmierci, Jędrzej Śniadecki dopiero w ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia stał się przedmiotem żywszego zainteresowania ze strony uczonych polskich. Potem jednak to zainteresowanie osłabło, lecz nie na długo, bo z początkiem bieżącego wieku rozpoczął się drugi okres studiów nad tym bezspornie najznamienitszym przyrodnikiem polskim minionego wieku.

Przez 25 lat zajmował w Wilnie katedrę chemii. Kiedy z niej ustępował w r. 1822, ówczesny rektor Józef Twardowski żałował, że „Katedra chemii traci w wysłużonym profesorze męża głębokiej nauki i wysokiego światła, któremu ta umiejętność winna jasny swych początków wykład; winna język uczony, złożony z wyrazów prawdziwie polskich, doskonale dobranych i wybornie rzecz wyrażających“.

KILKA DAT BIOGRAFICZNYCH.

Jędrzej Śniadecki urodził się 30 listopada 1768 roku w Wielkopolsce w wiosce rodziców pod miastem Żninem. Po naukach początkowych, po śmierci ojca przeszedł pod opiekę starszego o 12 lat brata Jana, profesora Akademii Krakowskiej. Jan umieścił brata w gimnazjum Nowodworskiego w Krakowie, gdzie tak się wybił zdolnościami i pracą, że król Stanisław August odznaczył go złotym medalem. Po skończeniu gimnazjum za namową profesora Jaśkiewicza i margrabiny Wielopolskiej, zapisuje się na medycynę i spędza w Krakowie na studiach lekarskich cztery lata. Z Krakowa jedzie do Włoch, do Mediolanu. Po uzyskaniu we Włoszech dyplomu doktora medycyny i filozofii udaje się do Anglii i w Edynburgu pogłębia przez dwa lata studia medyczne. W maju 1797 r. cesarz Paweł wydał rozkaz mianujący Jędrzeja Śniadeckiego profesorem chemii w Szkole Głównej Litewskiej, dzisiejszym Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie i w jesieni tegoż roku rozpoczął Śniadecki swoje słynne wykłady chemii, po raz pierwszy wygłaszane świetnym językiem polskim.

DZIEŁO ŚNIADECKIEGO „POCZĄTKI CHEMII“.

Pierwszą rozprawę naukową ogłosił Śniadecki drukiem p. t. „Mowa o niepewności zdań i nauk na doświadczeniu fundowanych“, którą wygłosił przy otwarciu roku szkolnego 1799/1800 w Szkole Głównej Litewskiej. Mowa ta, zawiera wiele głębokich myśli, tyczących się filozoficznych podstaw nauk przyrodniczych. W następnym zaś roku wydaje dwutomowe dzieło pod tytułem: „Początki chemii stosownie do teraźniejszego tej umiejętności stanu dla pożytku uczniów i słuchaczów ułożone i na wzór lekcyj akademickich służyć mające“. Dzieło to, chociaż było tylko podręcznikiem elementarnym chemii, stanowiło jednak epokę w rozwoju tej nauki w Polsce. Był to pierwszy w Polsce podręcznik chemii, oryginalnie pomyślany i po polsku napisany, z którym przyszło na świat polskie mianownictwo chemiczne.

Przeglądając pożółkłe karty tego podręcznika, który ukazał się w r. 1800, a więc 136 lat temu, nie podobna oprzeć się głębokiemu wrażeniu.

Te oryginalne i swojskie wyrazy i zdania pociągają czytelnika dzisiejszego, każąc podziwiać niespożytą siłę duchową narodu, który po utracie niepodległości politycznej, na polu młodej stosunkowo gałęzi wiedzy zapowiada, że dotrzyma kroku innym narodom, które bytu swego politycznego nie utraciły. Podkreśla to Śniadecki w przedmowie do drugiego wydania pisząc: „Jako albowiem chemia olbrzymim w czasach naszych postępuje krokiem, tak starają się zawsze ze wszystkimi wydarzeniami, odmianami i nowymi wynalazkami uczniów oswoić i pokazać im naukę w takim stanie, w jakim się w rzeczy samej znajduje, ustawicznie dzieło za przewodnika do ustnych tłómaczeń i publicznych doświadczeń służyć mające, dopełniać i przerabiać musiałem“. Samą zaś naukę chemii określa Śniadecki, jako „umiejętność odmian zdarzających się lub mogących się zdarzyć we własnościach ciał ziemskich przez działanie powinowactw“. A dalej znowu: „Zrozumienie zaś i opanowanie tej umiejętności może nastąpić tylko na podstawie znajomości siły i praw powinowactwa“.

NOWE TERMINY.

Nie wchodząc w szczegóły układu podręcznika trzeba zaznaczyć, że jest on ułożony nadzwyczaj metodycznie i że przebija się w nim talent pedagogiczny autora. Zaczyna Jędrzej Śniadecki od omawiania pierwiastków, czyli ciał nie dających się rozłożyć, albo prostych, potem przechodzi do tak zwanych ziem, jak krzemionki, wapna, magnezji, baryty, glinki i t. p. a kończy na metalach.

Po opisaniu pierwiastka gazowego tlenu, (który zwie kwasorodem), to znaczy po podaniu jego własności fizycznych i chemicznych, zajmuje się omawianiem ważniejszych związków tego pierwiastka z innymi czyli t. zw. tlenkami i „kwasami tlenowymi“. Kwasy określa jako ciała spalone, złożone z kwasorodu i pierwiastków palnych. Tlen tedy, czyli kwasoród, zwie pierwiastkiem kwaszącym, a pierwiastek z nim związany „zasadą kwasową“. Takimi zasadami są n. p. siarka, fosfor, arszenik czyli arsen i t. p. Na tej zasadzie ustala Śniadecki regułę, na jakiej opiera się mianownictwo chemiczne tak ważnych związków chemicznych, jakimi są kwasy w chemii. „Ciała te — pisze — mające jeden pierwiastek składający i wiele własności wspólnych, nosić będą ogólne imię kwasu, który oznacza rodzaj, albo wydział wszystkie obejmujący własności, zaś szczególnie każdego kwasu własności, czyli jego właściwa natura, mając przyczynę swoją w zasadzie kwasowej, przez nią się wyrażać powinna, czyli każdy kwas wyrażać się powinien od zasady, z której powstaje. Tym sposobem — pisze dalej — kwasy, których zasadami są siarka, fosfor, arszenik i t. d. nazywać będziemy kwasem siarczanym, fosforowym, węglowym, arszenikowym, i t. d.“.

W sposób podobny do powyższego wprowadza nomeklaturę innej ważnej grupy związków chemicznych, mianowicie soli: „Każda sól — mówi — od składających ją pierwiastków imię mieć powinna. Uważamy zaś kwasy i zasady solne za ciała sól formujące, nie mając żadnego na ich pierwiastki względu; nazwisko zatem każdej soli z imienia kwasu i zasady solnej składać się powinno, dając pierwszeństwo kwasowi, jako istocie solącej. Stosownie więc do tej ustawy, sól n. p. z kwasu siarczanego i potażu, sody lub wapna złożoną, nazwiemy siarczanem potażu, sody lub wapna, sole zaś z tychże samych zasad i kwasów saletrowego, solnego, węglowego i t. p. nazywać się będą saletran, sodan, węglan i t. p.“.

Podstawy te, na których Śniadecki oparł moneklaturę chemiczną, są po dzień dzisiejszy aktualne, chociaż szczegóły uległy pewnym zmianom. Może dlatego, jakgdyby w przeczuciu trwałości ułożonych przez siebie zasad pisze: „W takowym układzie chemicznego słownika wszystkim solom z nowowynalezionych kwasów lub zasad solnych powstać mogącym, przyzwoite natych miast imiona dać będzie można“.

I rzeczywiście! Wszystkie nowe nazwy związków chemicznych, które wykryto i określono od czasu wydania książki Śniadeckiego, aż po dzień dzisiejszy, oparte są na tych samych zasadach, jakie przed wiekiem przeszło stworzył Jędrzej Śniadecki.

Sam podręcznik posiada wybitne zalety dydaktyczne. Pisany ładnym językiem, odznacza się przejrzystym ułożeniem materiału, grupującym treść poszczególnych działów około pewnych punktów zasadniczych, co wobec czysto opisowego charakteru podnosi jego zalety.

Wśród licznych szczegółów przewijają się dwie zasadnicze koncepcje teoretyczne, ułatwiające zrozumienie treści. Pierwszą jest teoria palenia się ciał na powietrzu, przy czym autor zbija rozpowszechnioną jeszcze tu i ówdzie błędną teorię Stahla. Drugą taką teorią jest „powinowactwo chemiczne“. Wszelkie bowiem reakcje chemiczne odbywać się mogą dzięki temu, że wśród ciał chemicznych działają powinowactwa. „Siła powinowactwa“ jest pierwszą przyczyną tak składu, jak i rozkładu ciał, a zatem wszelkich odmian, jakim ciała we własnościach swoich podpadać mogą. Twierdzi bowiem Śniadecki, że „nie będzie można kroku w tej umiejęności (t. zw. chemii) postąpić, bez dokładnej znajomości tej siły i praw, podług których działa“. Określając powinowactwo jako siłę, jest Śniadecki wyrazicielem dynamicznego jej charakteru i stoi pod wpływem fizyki wielkiego Newtona. W tym tkwi dydaktyczna wartość tej teorii, którą Śniadecki bierze za podstawę do tłómaczenia licznych reakcyj chemicznych. W ogóle podręcznik spełniał znakomicie zadanie krzewienia wiedzy chemicznej wśród naszego społeczeństwa i gdyby Śniadecki nic więcej prócz „Początków chemii“ nie napisał, to i tak miałby prawo do sławy wielce dla polskiej nauki zasłużonego męża.

HOŁD ZASŁUDZE.

Jędrzej Śniadecki należał do typu uczonych, którzy poza swoją specjalnością zajmują się innymi zagadnieniami, pragnąc je rozwiązać lub przyczynić się do ich wyjaśnienia. Dlatego też próbował swych sił nie tylko w chemii, ale w biologii, w medycynie, w fizyce, geologii i pedagogii. Wielkie także zasługi położył w biologii, zwłaszcza przez swoje dwutomowe dzieło p. t. „Teoria jestestw organicznych“. Tom pierwszy poświęcił autor biologicznym zagadnieniom ogólnym, zaś tom drugi fizjologii człowieka. Dzieło to pojawiło się w r. 1804, a więc w cztery lata po ukazaniu się „Początków chemii“, i było tłómaczone na język niemiecki i francuski. Ciekawa rzecz, że Niemcy pierwsi poznali się na wysokiej wartości dzieła naszego uczonego, które w Niemczech doczekało się dwóch wydań, a znakomity fizjolog niemiecki, Jan Müller, twierdził, że jest ono pierwszą fizjologiczną podstawą naukowego systematu medycyny. W Polsce długo było głucho w piśmiennictwie naukowym o dziele Śniadeckiego. Dopiero w kilkanaście lat po powtórnym wydaniu „Teorii jestestw organicznych“, gdy autor już dawno w grobie spoczywał (umarł w r. 1838), zaczęły się odzywać głosy, przypominające zasługi Śniadeckiego dla nauki. Głosy te stawały się co raz częstsze, co raz poważniejsze i doprowadziły wreszcie do tego, że postać tego znakomitego męża dzisiaj dopiero — blisko sto lat po śmierci — zyskuje na blasku i wartości, której za życia nie miał. Na dowód przytoczę fakt, że ostatni XIV Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich, który odbył się w r. 1933 w Poznaniu, uchwalił urządzić obchód setnej rocznicy zgonu Jędrzeja Śniadeckiego w r. 1938. Zjazd ten wybrał Komisję, złożoną z szeregu uczonych, która przygotowujo obchód ku czci Śniadeckiego.

Będzie to uroczystość, która przypomni społeczeństwu, czym był Śniadecki dla nauki światowej, a szczególnie dla nauki polskiej, w ogóle dla naszego społeczeństwa. Obowiązkiem bowiem naszym jest, wydobyć teraz po odzyskaniu niepodległości nasz dorobek naukowy z pyłu stuletniej niewoli, i w związku z tym, oddać hołd temu bojownikowi polskiej nauki, który wytrwał na posterunku mimo najcięższych przeciwności i był zwiastunem lepszej przyszłości.

BRONISŁAWA KUMANIECKA

GAZELE I STRUSIE

Stado spłoszonych, czarnopręgich gazel
Mknęło sprężyście przez step szaro-płowy;
Co chwila jednak ciekawe nowości,
Stawały trwożnie, odwracając głowy.

Struś głowę skulił i przymrużył oczy
Ujrzawszy wroga niespodzianie z bliska;
Czuł się bezpiecznym, niezmącenie ufnym,
Nie widząc ręki, co cyngiel pociska.

Lecz prawie zawsze nieostrożne zwierzę
Na pustym stepie celny strzał dościga:
Piękne gazele giną przez ciekawość,
A strusia gubi strusia polityka

K. J. ROGIŃSKI

Z nowego ośrodka antysemityzmu

WYSOKIE MAZOWIECKIE

Nie brak zapewne osób, które dopiero teraz po raz pierwszy zaznajomiły się z nazwę miejscowości: Wysokie Mazowieckie. Dlatego też nie od rzeczy będzie poświęcić jej kilka słów.

Wysokie Mazowieckie, miasto powiatowe, w odległości 7 klm. od stacji kolejowej Szepietowo, na linii Warszawa — Białystok, w województwie białostockim, liczące niespełna 4.000 mieszkańców, w czym nieco więcej niż połowa żydów, leży na wyżynie sięgającej 525 stóp nad poziom morza, po obu stronach rzeki Brok, o której miejscowe przysłowie mówi: „rzeka Brok — woda raz na rok“

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ.

Pierwotnie nosiło nazwę tylko „Wysokie“, a jeszcze i dziś okoliczna ludność tak je nazywa. Dodatek „Mazowieckie“ jest pochodzenia późniejszego, datuje się bowiem od czasów Ks. Janusza Mazowieckiego w 1414 r., dla zaznaczenia jego zależności od Mazowsza, a nie od Litwy, która wpływami swymi tu sięgała (zresztą w pow. brzeskim jest inne Wysokie, zwane Litewskim). Początków Wysokiego Mazowieckiego trzeba się doszukiwać w pierwszej połowie XIII wieku, kiedy to Ks. Konrad Mazowiecki rozpoczął wyprawy podbojowe na wschód od Mazowsze, uwieńczone (w 1237 r.) zdobyciem od Jadźwingów Drohiczyna, późniejszej stolicy województwa podlaskiego, przez które otworzył szeroko wrota dla osadnictwa. W ślad bowiem za wojskiem książęcym podążała drobna szlachta i na zdobytych terenach zakładała swe osiedla (w XIII i XIV w.,) wywodzące swe nazwy od poszczególnych rodów. Z biegiem czasu ludność rozmnożyła się, ale nazwy wiosek i jej mieszkańców pozostały te same. Dlatego po dziś dzień chyba w całej Polsce nie ma tak małej stosunkowo liczby nazwisk (stale powtarzających się) i tak upodobnionych do miejsca zamieszkania, jak tutaj. N. p. w wioskach o nazwach: Dołęgi, Włosty, Racibory, Mystki — spotykamy w przeważającej liczbie nazwisk Dołęgowskich, Włostowskich, Raciborskich, Mystkowskich i t. d.

Oprócz nazw, pochodzących od rodów szlacheckich, istnieją i inne nazwy, jak n. p. Litwa, Ruś, Jadźwiny (niechybnie od Jadźwingów), Tatary, Lachy, Mazury i t. p. Te nazwy świadczyłyby, że jednocześnie z polskimi osadnikami okolicę tę zamieszkiwały szczepy niepolskiego pochodzenia, jak Jadźwingowie, Litwini, Rusini, a nawet Tatarzy, z którymi nowi osadnicy musieli staczać walki.

„Wysokie“ figuruje w spisie, sporządzonym za czasów Ks. Konrada Mazowieckiego, wsi należących do grodu „Święch“ (dziś wioska 6 klm. od Wys. Mazow.), po upadku którego przy końcu XV w. Wysokie pojawia się już jako osada królewska, ziemi drohickiej, powołana do życia przez Kazimierza Jagiellończyka. W r. 1496 r. król Aleksander eryguje tu Kościół parafialny i odpowiednio go uposaża.

Przywilej na prawo magdeburskie, przez co nastąpiło podniesienie osady do godności miasta, był wydany przez tegoż Aleksandra w dniu 4 stycznia 1503 roku, w Wilnie. Dzieki temu miasto zaczyna się rozwijać. Z rejestru poborowych z 1580 r. (za króla Zygmunta Augusta) okazuje się, że miasto ma 144 domy i liczy 720 mieszkańców. Posiada cechy (27 kuśnierzy, 24 szewców, 5 rzeźników, ogółem 60 rzemieślników).

W 1675 roku uległo pożarowi i zostało zniszczone przez najazd szwedzki. Od tego czasu datuje się zastój w rozwoju miasta. Nie pomógł przywilej, wydany przez króla Stanisława Augusta, w 1780 r. na odbywanie czterech jarmarków w roku.

Poza tym miasto Wysokie Mazowieckie dzieliło losy województwa podlaskiego z Drohiczynem na czele, z którym było administracyjnie związane. A trzeba zaznaczyć, że mimo przynależności Drohiczyna wraz z 15 miastami (od 1443 r., kiedy to Ks. Bolesław nie mogąc obronić się przed napadem Litwinów Ziemię Drohicką sprzedał Ks. Kazimierzowi Jagiellończykowi) do Ks. Litewskiego, całe Podlasie zawsze ciążyło do Korony, aż wreszcie Zygmunt August, chcąc na zawsze położyć sporom kres, województwo podlaskie z ziemiami: drohicką, mielnicką, bielską, na sejmie lubelskim w 1569 r. odłącza od Wielkiego Księstwa a przyłącza do Korony. Po upadku Polski stolicą województwa podlaskiego stają się (zamiast Drohiczyna) Siedlce.

W 1837 r. rząd rosyjski kasuje województwa, a na ich miejsce ustanawia gubernie. Wysokie Mazowieckie należy podówczas do gubernii łomżyńskiej. Rosjanie przekręcają nazwę Wysokie Mazowieckie na Mazowieck (jeszcze dziś tę nazwę tu i ówdzie w mowie potocznej się słyszy).

Dziś Wysokie Mazowieckie w dalszym ciągu jest siedzibą władz powiatu, który liczy 9 gmin wiejskich i 5 miast, (Wys.-Mazow., Tykocin, Łapy, Czyżew, Sokoły; razem około 90.000 mieszkańców).

Mimo, że Wysokie od tylu lat jest miastem powiatowym, jednak ze względu na brak przemysłu, a nawet większego handlu jest słabo zabudowane i nie ma wyglądu miasta; liczy bowiem zaledwie kilkanaście domów murowanych, reszta drewniane. Posiada dwa kościoły murowane, jeden parafialny, zbudowany w 1875 roku, drugi pounicki, zbudowany przez Anielę Węgierską w 1798 dla unitów (który Moskale w 1875 roku zagarnęli na cerkiew, a unitów przymusowo przepisali na prawosławnych).

„SZLACHCIC NA ZAGRODZIE...“.

Ludność powiatu wysoko mazowieckiego wywodzi się ze szlachty mazowieckiej, z czego jest ogromnie dumna. Ludność włościańska, która tu stanowi nie więcej, jak 10% napłynęła później. W bardzo wielu domach przechowuje się autentyczne rodowody szlacheckie. Sąsiedzi w stosunkach wzajemnych tytułują siebie zawsze przez „p a n“, „p a n i“, często nawet mąż do żony mówi nie „ty“, ale „sama“ (niech sama idzie). Uprzejmość i grzeczność jak na ludność miejską jest zadziwiająca. Poczucie godności własnej wielkie. Mowa czysta i poprawna.

Zawierający związek małżeński pilnie przestrzegają, aby nie zaślubić osoby pochodzenia nieszlacheckiego.

Ziemia w całym powiecie żyzna (pszenno-buraczana), przeto mimo przeciętną liczbę 15 morgów na gospodarstwo, zamożność jest stosunkowo duża.

Z wybujałego poczucia godności własnej przez długi czas wynikało silnie rozwinięte pieniactwo, ta nieodrodna cecha szlachty polskiej. Poza tym ludność jest moralna i pobożna. W dużym stopniu ma inteligencję wrodzoną, która potęguje się tym, że wiele domów ma wykształcone dzieci (przeważnie księży).

Wielkiej własności ziemskiej w powiecie prawie nie ma, są tylko dwory liczące po kilkanaście włók ziemi. Dlatego w powiecie wysoko mazowieckim nie spotykamy tego objawu, który widzimy na innych ziemiach Polski — nieufności do dworów. Przeciętny szlachcic choćby posiadał tylko kilka morgów, uważa się za równego ziemianinowi. Znane przysłowie: „szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie“ ma tu trafne zastosowanie.

Dlatego stosunki tutejszej ludności z dworami są bardzo dobre, sąsiedzkie. Trzeba przyznać, że i dwory tutejsze szanują zdrobniałą brać szlachecką. Co prawda, to ziemianin tutejszy duże zasługi położył koło niesienia kultury wobec wsi. Szczególnym uznaniem cieszył się ś. p. Ludwik Włodek, po dwakroć poseł na Sejm. Z powyższego wynika, że ludność wiejska powiatu wys. maz. posiada odrębne oblicze. Dlatego też nie poddaje się łatwo prądom radykalnym. Kto by tutaj rozpoczął agitację od powoływania się na interesy „chłopa“, z punktu przegrałby sprawę: bo tu nie „chłop“, a „pan“. Gdy zatem w wolnej Polsce zaczęto tworzyć partie polityczne, które przelicytowywały się w obietnicach, tutaj żadna partia chłopska nie miała dostępu i dziś nie ma, „Piast“ tu i ówdzie przyjął się, ale słabo.

Usposobieniu tutejszej ludności odpowiada szczególnie narodowy kierunek polityczny. Dlatego też we wszystkich wyborach do Sejmu miejscowa ludność głosowała masowo na posłów ze Stronnictwa Narodowego.

I KWESTIA ŻYDOWSKA.

Kto bliżej zna spokojny charakter tutejszej ludności, ten z wielkim zdziwieniem dowiedział się o wyczynach „antyżydowskich“. Wszak w długoletnim obcowaniu z żydami drobna szlachta mazowiecka naśladowała swoją bogatszą brać dworską, która, jak wiadomo, nigdy nie obywała się bez żydów.

Przyczyny tego stanu rzeczy są te, że wieśniak tutejszy, jako mało przedsiębiorczy wolał posługiwać się żydem. Przy tym żyd doskonale dostosował się do psychologii szlachcica. Sam się uniża, a dumie szlacheckiej „p. Jacentego“, czy „Ambrożego“, jak najlepiej schlebia. Przez szereg zatem lat brać szlachecka nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa żydowskiego.

Aż oto wybiła godzina dziejowa.

Polska zmartwychwstała. Szlachta mazowiecka myśli powoli, ale prawidłowo. Poczęło jej świtać, że tak dalej być nie może. Ziemi mało, ludzi dużo, a zatem zbywający procent winien iść do miast.

Zaraz w pierwszych chwilach po uzyskaniu niepodległości w Wysokim Mazowieckim powstaje Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa, której celem był skup zboża i dostarczanie narzędzi rolniczych.

Nie wszyscy rolnicy zapisali się na członków, mimo to instytucja wzbudziła wielkie zainteresowanie. Skutek praktyczny niebawem się okazał; powstała rywalizacja między Spółdzielnią a żydami, którzy dotąd jako wszechwładni panowie rynku zbożowego, byli dyktatorami cen. Wpływy i znaczenie Spółdzielni rosły i mimo, że nie zawsze Zarząd stał na wysokości swego zadania, rolę swą spełniła i po dziś dzień spełnia.

Jedna pozycja zatem została zdobyta. Aż oto po całej Polsce poszedł zew: wyzwolić się z niewoli żydowskiej od detalicznego handlu. Duma szlachecka odżyła. Najpierw zaczął się napływ energicznych jednostek do miasta, które zaczęły otwierać małe sklepiki. Potem przyszło uświadomienie o konieczności masowego poparcia handlu polskiego.

Bicie i znęcanie się nad żydami nie leży w charakterze miejscowej ludności. To też w samym Wys.Mazow. nie było ani jednego wypadku śmierci, ni dotkliwego pobicia; nie byłoby i w Czyżewie, gdyby nie wpływ czynników całkiem obcych, zewnętrznych. Potem najniesłuszniej przyszły represja. Dzięki Bogu, że nastąpiło otrzeźwienie.



ALEKSANDER PUSZKIN

ZADYMKA

NOWELA.

Przełożył z rosyjskiego Józef Birkenmajer

W końcu roku 1811, w dni dla nas pamiętne, w majątku swoim Nieparadowie mieszkał zacny Gawrił Gawriłowicz R...., sławny na cały powiat z otwartego serca i gościnności. Raz po raz przyjeżdżali do niego sąsiedzi, by najeść się i napić do syta, a niektórzy i po to, by nacieszyć oczy widokiem córki ich obojga, Marii Gawriłówny, zgrabnej bladolicej panienki lat siedemnastu. Uważano ją za pannę posażną, to też niejeden z bywalców domu marzył o niej bądź dla siebie, bądź dla którego ze swych synów.

Maria Gawriłówna wychowała się na romansach francuskich; stąd prosty wniosek: była zakochana. Wybrańcem jej serca niebogaty praporszczyk czynnej służby, przebywający właśnie w wiosce swej na urlopie. Młodzian ten, ma się rozumieć, pałał ku niej równie gorącym uczuciem; równie zrozumiałą jest rzeczą, że rodzice jego ukochanej, widząc ich wzajemną skłonność, zabronili córce o nim myśleć, a jego przyjmowali ozięble, gorzej niż prezesa-emeryta.

I to też jest najzupełniej zrozumiałe, iż kochankowie poczęli do siebie pisywać listy i widywali się co dzień w gaju sosnowym, albo koło starej kapliczki. Tam przysięgali sobie miłość dozgonną, narzekali na los przeciwny i snuli wspólnie różne projekty. Tak pisując i rozmawiając, doszli (czemu też nie ma co się dziwić) do następującego wniosku:

— Jeżeli nie możemy żyć jedno bez drugiego, a nielitosna wola rodziców stawia przeszkody naszemu szczęściu, to czyż nie można nie dbać o ich zezwolenie... i obejść się bez niego?

Znów ma się rozumieć, że myśl ta szczęśliwa przyszła do głowy najpierw młodzikowi i że bardzo przypadła do przekonania romantycznie nastrojonej Marii Gawriłównie.

Nadeszła zima i przerwała ich schadzki, za to korespondencja nader się ożywiła. — Włodzimierz Mikołajewicz w każdym liście zaklinał Marię, żeby przekradła się do niego, wzięła z nim potajemnie ślub i ukrywała się przez czas jakiś... aż na koniec pewnego dnia oboje rzucą się do nóg rodzicom, którzy napewno wzruszą się bohaterską stałością i nieszczęściem kochanków będą zmuszeni przemówić do nich:

— Pójdźcie kochane dzieci w nasze objęcia!...

Maria Gawriłówna długo się wahała. — Odrzuciła wiele planów ucieczki, aż na koniec zgodziła się na jeden z nich. W dzień umówiony miała nie jeść wieczerzy, tylko wymówić się bólem głowy i odejść do swego pokoju. Jej pokojówka była dopuszczona do spisku. Miały wyjść we dwie do ogrodu przez werandę, za ogrodem miały znaleźć przygotowane dla nich sanie, siąść w nie i jechać pięć wiorst od Nieparadowa, do wsi Żadrina, wprost ku cerkwi, gdzie już powinien czekać Włodzimierz.

W wigilię dnia decydującego Maria Gawriłówna nie spała przez noc całą: pakowała się, składała w tobołek bieliznę i ubranie, napisała długi list do pewnej współczującej panny, swej przyjaciółki, a drugi do rodziców. Żegnała się z nimi w najczulszych słowach, usprawiedliwiając swój postępek nieprzezwyciężoną mocą namiętności, a w zakończeniu nadmieniała, że za najszczęśliwszą i najradośniejszą chwilę w życiu uzna tę, w której wolno będzie rzucić się do stóp ukochanych rodziców.

Zapieczętowawszy oba listy tulską pieczątką, na której wyryte były dwa gorejące serca z odpowiednim napisem, nad samym świtem rzuciła się na łóżko i zasnęła. Atoli co chwilę budziły ją trwożne myśli i przewidzenia. Raz wydawało się jej, że w sam raz wtedy, gdy siadała do sań, ojciec zmusił ją do zatrzymania się w miejscu, pochwycił ją i ciągnął z oszałamiającą prędkością po śniegu, aż na koniec wrzucił do ciemnej, bezdennej piwnicy..., gdzie leciała na łeb, na szyję, czując, jak zamierało w niej serce. To znów widziała Włodzimierza leżącego na trawie, bladego i pokrwawionego; umierając, prosił ją przeszywającym głosem, żeby czym prędzej brała z nim ślub... Jeszcze inne widziadła, niesamowite i niedorzeczne, kłębiły się przed nią jedno po drugim... W końcu wstała bledsza, niż zazwyczaj i z nie udawanym bólem głowy. Ojciec i matka zauważyli jej niepokój i jęli się dopytywać:

— Co tobie, Marusia?... Marusiu, czyś ty nie chora?

Ich pieczołowita troskliwość i te ciągłe pytania raniły jej serce. Starała się ich uspokoić, udawać wesołą — lecz nie potrafiła.

Nadszedł zmierzch. Na myśl, że już po raz ostatni spędza wieczór w gronie rodziny, serce Marii się ściskało. Była ledwie żywa; po kryjomu żegnała się w duchu z wszystkimi osobami, z wszystkimi przedmiotami, jakie ją otaczały. Podano wieczerzę — a w niej serce zaczęło bić, jak młotem. Drżącym głosem oznajmiła, że nie zasiądzie do wieczerzy i zaczęła się żegnać z ojcem i matką. Ucałowali ją i pobłogosławili, jak mieli w zwyczaju: o mało co nie rozpłakała się ze wzruszenia.

Przyszedłszy do swego pokoiku, rzuciła się na fotel i zalała się łzami. Pokojówka jęła ją prosić, by się uspokoiła i nabrała otuchy. Wszystko było przysposobione. Za pół godziny Marusia miała na zawsze rozstać się z domem rodzicielskim, przytulnym alkierzykiem i swoim życiem panieńskim... Na dworze srożyła się zawierucha: wicher wył, okiennice chybotały się, skrzypiały i łomotały... Wszystko napawało ją lękiem, niepokojem, brzmiało niby smutne ostrzeżenie...

Po jakimś czasie wszystko w domu ucichło, posnęło. Wówczas Marusia otuliła się szalem, opatuliła się w ciepłą szubkę, wzięła w ręce szkatułkę i wyszła na werandę. Pokojówka niosła za nią dwa węzełki.

Marusia zeszła z werandy i podążyła z pokojówką w głąb ogrodu. Zawierucha nie cichła. Wicher smagał je po twarzy, jak gdyby chciał zatrzymać młodą winowajczynię. Z trudnością dotarły do końca ogrodu.

Na drodze oczekiwały sanie. — Konie zmarznąwszy nie chciały stać w miejscu. — Woźnica Włodzimierza chodził przed hołoblami, przemocą hamując niecierpliwe biegusy. Pomógł przy wsiadaniu panience i jej służącej, ułożył tłomoki i szkatułkę, ujął lejce — i konie ruszyły z kopyta.

Powierzywszy pannę opiece losu i zręczności woźnicy Terencjusza, zajmijmyż się z kolei młodym oblubieńcem.

Włodzimierz przez cały dzień jeździł w przeróżne strony. Rano był u popa żadryńskiego, z którym jakoś w końcu zdołał

Rozmaitości

Wymiar sprawiedliwości w Syjamie

Osobliwe zwyczaje panują po dziś dzień jeszcze w sądownictwie syjamskim. Przesłuchanie podejrzanego, czy oskarżonego, odbywa się w bardzo „uproszczony“ sposób, przy czym wynik śledztwa zależy tylko od wytrzymałości fizycznej przesłuchiwanego. Jeśli oskarżony nie poprze swej niewinności 10 świadkami, wtedy poddaje się go „próbie“, będącej podobieństwem starych „sądów bożych“ w średniowieczu. Jednym z tych sposobów, mających decydować o winie lub niewinności podejrzanego, jest „próba trucizny“. Oskarżonego zmusza się do wypicia cieczy zaprawionej trującym odwarem z roślin. Jeśli trucizna zacznie od razu działać, wtedy sędziowie nabierają przekonania, że oskarżony jest winnym. Pozostawia się go więc własnemu losowi, to znaczy, że ofiara tego sądu ginie w ciągu kilkunastu minut w straszliwych męczarniach. Jeśli natomiast trucizna zawodzi i nie działa natychmiast piorunująco, wtedy zezwala się oskarżonemu — o którym bóstwo orzekło widocznie, że jest niewinnym — na zastosowanie odtrutki w formie biegu, który musi trwać kilka godzin, by trucizna została doszczętnie usunięta z organizmu wraz z potem.

O winie decyduje również „próba sera“. Oskarżony musi połknąć kawał twardego, suchego sera owczego o średnicy 4 cm. Jeśli udławi się od razu, wtedy — zrozumiałą jest rzeczą — nie trzeba już stosować wobec niego żadnej kary.

Trudniej natomiast jest wyszukać winowajcę np. w wypadku kradzieży. Lecz i na to znajduje sposób sędzia w Syjamie. Zgromadza się mianowicie ludność całej wsi przed sędzią, a wybrane przez niego dziecko chłoszcze po kolei wszystkich po plecach rózgą. Z ruchów mężczyzn lub kobiet poddawanych takiej to próbie sędzia wnioskuje, kto jest winnym. Nie trzeba chyba dodawać że w przeddzień tej próby sędzia jest zasypywany po prostu podarunkami tych, którzy nie życzą sobie, by „bóstwo“ wskazało nazajutrz na nich, jako na winnych.

Z człowiekiem, któremu udowodniono przewinienie, postępuje się w prosty sposób. Pomocnicy sędziego zakopują go po szyję w gliniastej ziemi i pozostawiają własnemu losowi. Jest to jednak jeden z łagodniejszych sposobów powolnego uśmiercania człowieka. Zbrodniarza, który ma już szereg poważnych przestępstw na swym sumieniu karze się okrutniej. Zakopuje się go w dżungli tylko do pasa, a skórę na plecach nacina się w kilku miejscach, by woń krwi wabiła mrówki i moskity.

Mimo tak okrutnej kary przestępczość w Syjamie dotychczas nie zmalała.

Wulkany pod lodem

W południowo-wschodniej części Islandii znajduje się olbrzymi lodowiec Vatna Jökull, pokrywający przestrzeń około 8.000 km. kw. Lodowiec ten jest pozostałością ostatniej epoki lodowcowej, która cofając się stopniowo w całej Europie, tu pozostawiła ślady swego trwania w pierwotnej, niezmienionej formie.

Z drugiej strony wiadomo, że Islandia jest krajem gorących źródeł, tak zwanych gejserów, pochodzenia wulkanicznego. Szereg tych wulkanów jest jeszcze dziś czynnych. Kilka najbardziej czynnych wulkanów znajduje się właśnie pod grubą na kilkaset metrów pokrywą lodowca Vatna Jökull.

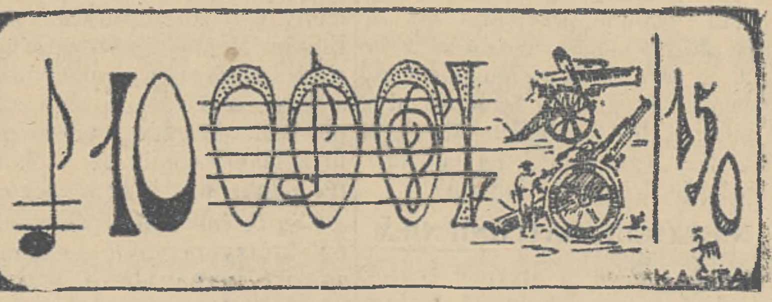
Działalność tych wulkanów badał niedawno znakomity uczony skandynawski, dr Niels-Nielsen, którego sprawozdanie, przedłożone brytyjskiemu towarzystwu geograficznemu „Royal Geographical Society“, opublikował ostatnio angielski miesięcznik przyrodniczy „Nature“. **Wulkany te, wybuchają pod powłoką lodową, powodują nagłe topnienie olbrzymich mas lodowca,** co wywołuje na całej wyspie straszne powodzie, które ludność nazywa Jökullhlaup. Ekspedycja naukowa dr Niels-Nielsena stwierdziła dwa rodzaje wybuchów wulkanicznych, jedne, którym towarzyszy nikły wyrzut popiołów, których siła wybuchowa jest natomiast tak wielka, że z łatwością kruszy gruby, do 200 metrów dochodzący, pancerz lodowy i tworzy w lodowcu liczne kratery. Ilość wody z roztopionych mas lodowych dochodzi do zawrotnej cyfry 10 miliardów metrów sześć. Drugi rodzaj wulkanów rozwija znacznie słabszą energię, niezdolną do przebicia pancerza lodowego. Wybuchy te mają jednak inną właściwość. Pod olbrzymim ciśnieniem masy lawy krystalizują się, **tworząc skały bazaltowe** i inne, których liczne pokłady na Islandii są najwymowniejszym świadectwem, że cała wyspa zawdzięcza swe powstanie i swój układ geologiczny działaniu sił wulkanicznych.

Rozrywki umysłowe Nr 10/49

Pod kier. inż. H. Braunianowej, czł. Kl. Szar.

II Konkurs zadaniowy (d. c.)

ZAD. 5. — REBUS — ZAPYTANIA.
uł. „KAUSTA“, czł. Kl. Szar.



ZAD. 6. — SZARADA WIELKOPOSTNA. Uł. „ANERG“, czł. Kl. Szar.

Raz-drugie : ciężkie życie człowieka,
co nosi w **ośm-czwartym** grzechu zarodki.
Bez łaski Bożej — duchowy kaleka,
czyż znajdzie **cztery-pół drugie** i środki
na duszy choroby? W swoim **sześć-ósmym**
ziemskim tyle pokus czarcich spotyka,
sześć-cztery wietrzyk nim pomiata, a **piąte**
tem ileż skarg z duszy mu się wymyka.
Ciesz się człowiecze, — czas zbliża się święty,
w którym pokuty łzą zmyjesz swe brudy
grzechowe i umknie szatan przeklęty,
a wraz z nim, z tym ojcem pychy, obłudy,
wypełzną z twej duszy gady, poczwary,
trzy-szóste, węże i smoki obrzydłe.
Ty zaś promienny, już nie **szóste-czwarte**
jaki, bo Bogu miły swymi skrzydły
ducha ponad światami się wzbijesz marności
i jasny, już z cnotą staniesz w przymierzu,
„Sześć-siedem“ — zawołasz pełen radości —
„Sześć-siedem“ — strzeż mnie Aniele mój [stróżu“.

ZAD. 7. — ELIMINATKA. Uł. „JOHN LY“, czł. Kl. Szar.

Proszę odgadnąć 10 wyrazów sześcioliterowych, określonych pod „A“, i wykreślić z nich litery, wchodzące w skład 10 wyrazów, określonych pod „B“. Litery pozostałe w pierwszej dziesiątce wyrazów, dadzą znane przysłowie, które można podać bez wyrazów pomocniczych.

Znaczenie wyrazów:

1. A. — Kres	B. — Dera
2. A. — Robotnicy leśni,	B. — Narząd czucia
3. A. — Bohater trojański,	B. — Moc, tężyzna
4. A. — Drzewa owocowe,	B. — Zwierzę egzotyczne
5. A. — Nitka,	B. — Faza księżyca
6. A. — Duchowny niekatolicki.	B. — Wyspa
7. A. — Prawodawca ateński.	B. — Zwierzę domowe
8. A. — Historia.	B. — Płyn
9. A. — Zły duch.	B. Wskaźnik, rejestr
10. A. — Roślina pastewna,	B. — Przekaz pieniężny.

ZAD. 8. — ZADANIE LITERACKIE. Uł. J. JODŁOWSKI, Piotrków.

Znaleźć 17 utworów niżej podanych autorów. Rząd pierwszy, czytany pionowo, da rozwiązanie. Cyfra w nawiasie oznacza ilość liter szukanego utworu.

Autorzy: 1. I. Krasiński (7); 2. K. Tetmajer (6), 3. E. Orzeszkowa (10), 4. Tołstoj (12), 5. E. Wallace (12), 6. A. Mickiewicz (6), wspak, 7. I. Krasicki (7), 8. M. Rodziewiczówna (4), 9. A. Marczyński (9), 10. J. German (6), 11. B. Prus (12), 12. Hajota (7), 13. Konrad Korzeniowski (8), 14. K. Hamsun (8), 15. J. London (9), 16. M. Rodziewiczówna (7), 17. Dostojewski (6).

Skrzynka pocztowa. Kierowniczka Działu Rozrywek Umysłowych zwraca się z prośbą do P. P. Autorów o zadania na dzień 1 kwietnia, który będzie pierwszą rocznicą wprowadzenia w „Głosie Narodu“ w dodatku niedzielnym Działu R. U. Jednocześnie uprasza o kierowanie wszelkiej korespondencji, dotyczącej tego działu **pod jej adresem,** t. j. pod jej nazwiskiem, do redakcji, a to w celu uniknięcia zwłoki w odpowiedzi lub w załatwieniu jakichkolwiek zleceń.

WPan. J. Rumian — Żelków: Dziękujemy za nadesłane zadania, które w stosownym czasie zostaną zamieszczone w dodatku i prosimy o nadsyłanie nam rowiązań i wzięcie udziału w losowaniu nagród.

Sprostowanie. Termin nadsyłania rowiązań z II Konkursu Zadaniowego, rozpoczętego w Nr 9/48, upływa **w dniu 15 kwietnia r. b.,** a nie w marcu, jak omyłkowo zostało podane.

dojść do porozumienia, następnie pojechał szukać świadków, pomiędzy sąsiedztwem.

Pierwszy, do którego zawitał, a mianowicie emerytowany czterdziestoletni kornet Drawin, zgodził się chętnie, gdyż — jak zapewniał — owo przedsięwzięcie przypomniało mu dawne czasy i figle huzarskie. — Zgodziwszy się jął namawiać Włodzimierza, żeby został u niego na obiedzie, wszelkie zaś skrupuły usunęło przyrzeczenie, że niewiele trudu będzie go kosztowało zdobycie dwóch jeszcze świadków. Jakoż natychmiast po obiedzie ukazał się geometra Szmitt, człek wąsaty i przyozdobiony ostrogami, oraz syn kapitana i sprawnika, chłopiec szesnastoletni, od niedawna służący w pułku ułanów. Obaj nie dość, że przyjęli propozycję Włodzimierza, lecz jeszcze nawet zaklinali się, że są gotowi zań oddać choćby życie. Włodzimierz uściskał ich z rozczuleniem i odjechał do domu, by zarządzić dalsze przygotowania.

Już dawno zapadł zmierzch. Włodzimierz wyprawił zaufanego Terencjusza do Nieporadowa ze swą „trójką“ i z dokładnym, szczegółowym zleceniem: dla siebie zaś kazał zaprząc małe saneczki w jednego konia i sam jeden bez woźnicy pojechał do Żadrina, gdzie za dwie godziny miała przybyć również Maria Gawriłówna. Drogę znał wyśmienicie, a jechało się tam wszystkiego ze dwadzieścia minut.

Zaledwie jednak Włodzimierz wyjechał w pole poza wieś, nagle zerwał się szalony wicher i nadciągnęła tak gęsta zamieć śnieżna, że choć oko wykol, nie było widać nic przed saniami. W mig zasypało drogę, a okolica znikła we mgle mętnej i żółtawej, w której sypały się białe płaty śniegu; niebo zlało się z ziemią. Włodzimierz zboczył na orne pole i bez skutku usiłował wydostać się z powrotem na gościniec. Koń szedł na chybił trafił, co chwilę wjeżdżając w zaspy, lub zapadając się w niedostrzeżone doły; sanie wywracały się raz po raz.

Włodzimierz jechał wytrwale i starał się jedynie nie stracić właściwego kierunku. Miał jednakże wrażenie, że minęło już zgórą pół godziny, — a mimo to on jeszcze ani rusz, nie mógł dobrnąć do zagajnika Żadrińskiego... Minęło znów może z dziesięć — minut ani śladu zagajnika! Jechał przez jakieś pole poprzerzynane głębokimi wyrwami. Koń zaczął dyszeć ciężko, prężąc z wysiłkiem ścięgna boków, a na Włodzimierza biły siódme poty, pomimo, że co chwila zapadał się po pas w śniegu.

W końcu zmiarkował, że jedzie chyba w złym kierunku. Zatrzymał się więc, zaczął sobie przypominać, rozglądać się... — Wyobraził sobie, że należało skręcić w lewo. Tak też uczynił. Koń ledwie się wlókł. Jazda trwała już przeszło godzinę. Żadrino powinno było już być blisko — lecz on jechał i jechał, a pole jakoś nie chciało się skończyć... Same tylko zaspy i wądoły!

Co chwila sanie się przewracały, co chwila trzeba było je podnosić. Czas upływał — Włodzimierz zaczął się niepokoić.

Wreszcie zaczerniało coś na uboczu. Włodzimierz zawrócił w tę stronę. Podjechawszy, dostrzegł zarośla.

— Dzięki Bogu! — pomyślał. — To już blisko!

Przejechał obok zagajnika, spodziewając się, że niebawem dostanie się na znaną drogę, lub objedzie zagajnik wokoło; wszak Żadrino znajdowało się tuż poza nim! Wkrótce znalazł drogę i wjechał w pomrokę drzew, ogołoconych przez zimę. Tu już wichura nie mogła się srożyć, droga była równa, więc koń nabrał śmiałości, a Włodzimierz spokoju i otuchy.

Ale jechał i jechał, a Żadrina jak nie było, tak nie było... a i gąszcze jakoś nie chciały się skończyć. Włodzimierz ze zgrozą uświadomił sobie, że napewno wjechał w jakiś las nieznany. Ogarnęła go rozpacz. Uderzył konia biczem; biedne zwierzę poszło kłusa, niebawem jednak zaczęło zwalniać... po kwadransie zaś poszło stępa, naprzekór wszelkim wysiłkom nieszczęsnego Włodzimierza.

W czas jakiś wszelako drzewa zaczęły się przerzedzać i Włodzimierz wyjechał z lasu. Żadrina nie było widać. Było już napewno po północy.

Zrozpaczonemu Włodzimierzowi łzy puściły się z oczu. Pojechał na los szczęścia. Wichura ucichła, chmury już się rozpraszały. Przed nim widać było równinę, usłaną białym kobiercem; noc była dość jasna. Nie opodal ujrzał wioszczynę, złożoną z czterech, czy pięciu zagród. Podjechał ku niej. Koło pierwszej chaty wyskoczył z sanek, podbiegł do okna, i począł łomotać z całej siły. Po dłuższej chwili uchylono okiennicę i jakiś starzec wytknął spoza niej siwą brodę.

— Czego ci potrzeba?... hę?

— Czy daleko stąd do Żadrina?

— Hę?... Czy daleko do Żadrina?

— Tak! Tak! No tak!... Czy daleko?

— No, niedaleko: z dziesięć wiorst będzie...

Posłyszawszy taką odpowiedź, Włodzimierz porwał się za włosy i znieruchomiał, jak człowiek oczekujący śmierci.

— A skądeś ty?... hę? — dopytywał się tym czasem starzec.

Włodzimierz zbyt był pochłonięty własnymi myślami, by mógł odpowiedzieć.

— Czy mógłbyś, dziadku, — rzekł — postarać się dla mnie o konie do Żadrina?

— O konie?... hę? A skądże tu u nas wziąć koni? — żachnął się wieśniak.

— A nie mógłbym przynajmniej dostać tu u was przewodnika? Zapłacę mu ile zechce.

— A to poczekaj — odrzekł staruszek, przywierając okiennicę. — Przyślę ci syna, to on cię poprowadzi.

Włodzimierz czekał. Może upłynęło pół minuty, gdy zaczął się znów dobijać do okna. Okiennica się uchyliła, broda wychyliła się powtórnie.

— Czego ci potrzeba? hę?

— A gdzież ten twój syn?

— Zaraz, zaraz wyjdzie, ino wciągnie buty. Możeś przemarzł? Chodź się zagrzać

— Dziękuję, dziękuję! Przysyłaj-no syna czym prędzej!

Skrzypnęły wrota chałupy. Wyszedł parobas z ogromnym kosturem w ręce i ruszył przodem, to odszukując, to wskazując drogę zasypaną śniegiem.

— Która godzina? — zapytał go Włodzimierz.

— O, już rychło dzionek zaświta! — odrzekł spokojnie parobek.

Włodzimierz zamilkł i przez całą drogę nie odezwał się ani słowem.

Piały już koguty i jasno było na niebie, gdy dotarli do Żadrina. Cerkiew była zamknięta. Włodzimierz zapłacił przewodnikowi i zajechał na podwórze popa.

W podwórzu nie było jego „trójki“. Jakaż wieść go oczekiwała!...

(Dokończenie nastąpi.)

KUPON Nr 10/49

ważny do dnia 15 kwietnia 1937 r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Narodowy socjalizm niemiecki, jako kierunek społeczny o pewnym filozoficznym podkładzie, nie przestaje pobudzać umysłów do badań. Ogólnie przyjmuje się, że jego filozofia państwa ma swe źródło w filozofii Hegla, w jego ubóstwieniu państwa, a rasizm wywodzi się z teorii francusk. dyplomaty i pisarza, hr. Gobineau. Ale jego życiowa filozofia, jego pogląd na codzienne sprawy ludzkie, ich sens i ich cel?

NIETZSCHE NATCHNIENIEM.

Na ten temat mówił w Rzymie rektor instytutu teologicznego „Anima", biskup Hudal, autor książki o narodowym socjaliźmie, którą część opinii niemieckiej przyjęła jako dążność do pogodzenia katolicyzmu z narodowym socjalizmem.

Biskup Hudal jest zdania, że nad filozofią narodowego socjalizmu zaważył w wysokim stopniu Nietzsche przez swój negatywny stosunek do chrześcijaństwa; jako religii „słabych", i przez swój mit „nadczłowieka", któremu obce są zasady transcendentalnej etyki. Wpływy Nietzschego są silne, zwłaszcza w organizacji „Deutsche Glaubensbeveguug" (ruch niemieckiej wiary), szerzącej neopogaństwo i cieszącej się dużym znaczeniem w państwie.

Lecz — rzecz ciekawa — takie zaprzeczenie narodowego socjalizmu, komunizm rosyjski, tym samym wpływom ulega. I w nim daje się stwierdzić infiltracja filozofii Nietzschego, a Lenin, względnie Stalin, przedstawiają się nam jak wcielenia nietzscheańskiego „nadczłowieka". Biskup Hudal uważa bolszewizm za „wtargnięcie dekadentyzmu Europy w historię Rosji".

„KLĘSKA KARD. FAULHABERA".

Wracając do narodowego socjalizmu, trzeba powiedzieć, że nadzieje na pomyślne ułożenie się jego stosunku do Kościoła zawiodły. Nie ma dnia bez konfliktu, a prasa hitlerowska tendencyjnie je rozdmuchuje. Np. „Angriff", jeden z najbardziej wpływowych dzienników III Rzeszy, ma stałą rubrykę, w której zwalcza katolicki pogląd na świat lub działalność Kościoła, jak organ komunistyczny.

Jednym z ostatnich wydarzeń z tej dziedziny była gwałtowna kampania partii hitlerowskiej przeciw szkole wyznaniowej. Nie pomnąc na gwarancje tej szkoły wciągnięte do konkordatu, prasa i partia hitlerowska przypuściły formalny szturm na szkołę wyznaniową, terroryzując rodziców, by dzieci przenosili do szkoły międzywyznaniowej. Nie pomógł list pasterski Episkopatu, nie pomogły wezwania duchowieństwa. Na terenie katolickiej Bawarii, a szczególnie w Monachium, katolicka szkoła wyznaniowa straciła swoje dotychczasowe znaczenie. „La Croix" pisze nawet o „klęsce kard. Faulhabera" i przypisuje ją moralnemu terrowi oficjalnych czynników i partii narodowo-socjalistycznej. Lęk o posadę i bojaźń utraty pracy zadecydowały o zwycięstwie szkoły międzywyznaniowej. „Osservatore Romano" nie kryjąc tego smutnego faktu, oświadcza, że ta agitacja jest przeciwna konkordatowi.

HITLEROWIEC O KONGRESIE W MANILI.

„Angriff" z 27. lutego przyniósł korespondencję „własnego korespondenta" z Manili, z 33. Kongresu Eucharystycznego. Jest ona od początku do końca fałszowaniem prawdziwych intencyj Kościoła i celu Kongresów Eucharystycznych. Korespondent uważa Kongres w Manili za „etap" i „bazę wyjściową" do realizacji „marzenia wielkości", do opanowania Chin i Japonii. Autor korespondencji daje do zrozumienia, że ze strony Stolicy Apostolskiej działa tu żądza władzy, wpływów i t. p. Oczywiście nie rozumie ani Kościoła, ani Ewangelii...

Korespondencja roi się od złośliwości, drobnych i większych. Jej autor najwidoczniej jest zirytowany wspaniałym przebiegiem kongresu i udziałem olbrzymich tłumów. Wolałby, by kongres się nie udał i by udział uczestników był jak najmniejszy. Czepia się więc różnych cyfr podawanych przez prasę i różnych momentów kongresu, byle tylko móc „skorygować" sprawozdania i osłabić mocne w świecie wrażenie kongresu.

A więc twierdzi n. p., że mnóstwo ludzi przybyło do Manili, nie tyle na kongres, ile na zabawy karnawałowe, które w tym czasie miały być zorganizowane, — że prezydent Filipin, Manuel Quezon tuż przed rozpoczęciem kongresu wyjechał do Stanów Zjedn., a jego żona zachorowała właśnie w chwili powitania Legata papieskiego, — że koszty utrzymania poszły na okres kongresu w górę, a taksówki były szczególnie drogie.

Są to śmieszne złośliwości. Ci Filipińczycy, którzy przybyli do Manili rzekomo na zabawy karnawałowe, przystępowali masowo do Sakramentów św., — wyjazd prezydenta Quezona był już dawno postanowiony w związku z konferencją w sprawie układu handlowego o eksport cukru, a, że koszta utrzymania poszły z okazji kongresu w górę, to najmniej chyba za to odpowiada władza kościelna.

Korespondent jest nie tylko złośliwy, jest także podejrzliwy. Z faktu, że kardynał-legat papieski odpłynął z Manili japońskim okrętem, wnosi, że to był „gest" papieża zapowiadający jakieś „przymierze" z Japonią; i to się nie podoba hitlerowskiemu dziennikarzowi z powodu, że III Rzeszę łączą z Japonią ścisłe związki. Boi się jakiejś intrygi... Zdaje się jednak, że jest to tylko zjawisko znane z popularnego powiedzenia, iż — strach ma wielkie oczy: widzi nawet to, czego nie ma.

NIE BYŁO SWASTYKI.

Ale dopiero przy końcu korespondencji wychodzi szydło z worka. Mianowicie przy opisie uroczystej procesji, która zakończyła kongres...

Korespondent opisuje ją dość szczegółowo. W pewnym momencie daje się nawet porwać jej egzotycznemu pięknu, na które składała się gra barw skóry uczestników, ich strojów, krajobraz, śpiew, muzyka, sztandary i t. d. Baczną uwagę zwrócił na delegacje poszczególnych narodów. Postępowały pod własnymi sztandarami. Zainteresowała go delegacja hiszpańska, która kroczyła pod szandarem jen. Franco. W osobnej grupie postępowały sztandary Japonii, Mandżukuo, Chin, państw południowo- i środkowo-amerykańskich, Kanady, Stanów Zjednoczonych, wszystkich państw Europy, Afryki, Australii. „Jednego tylko — wyznaje — szukałem naprożno: „hakenkreuzu" nowych Niemiec". To go bardzo dotknęło. Tym bardziej, że — jak pisze — w kongresie brała udział niemiecka delegacja złożona z 19 osób. Zapytuje więc: — czym tłómaczyć to zaniedbanie?

Redakcja „Angriffu" dodała do tej korespondencji uwagę, że chce „odczekać" na powrót duchownych z Kongresu. Ale wyraża przekonanie, że odpowiedź na powyższe pytanie dać muszą.

Wszystko to razem wzięte jest dość dziwne, nawet niezrozumiałe... Swastyka hitlerowska przeciwstawia się Krzyżowi; skądże więc nagle pretensje, że jej nie ma na kongresie ku czci Chrystusa? Korespondent „Angriffu" naprzód obniżył wartość Kongresu i swoje sprawozdanie upstrzył złośliwościami pod adresem władz kościelnych, jakoby religijna manifestacja, którą urządzili, była przejawem jakiejś niebezpiecznej dla Niemiec manii wielkości, a potem oburza się, że w tej politycznej ledwie, że nie antyniemieckiej demonstracji, brak było sztandaru „nowych Niemiec".

Jest to dziwne i niezrozumiałe. Ale, czy całkiem niezrozumiałe? **Pejot.**

Kościół a obozy polityczne

K. A. P. pisze:

Kościół i Państwo, jako dwie najwyższe instytucje sprawujące rządy nad ludźmi, mają odrębne swe cele i zadania, oraz określone granice swej kompetencji. „Bóg rozdzielił zawiadywanie ludzkością między dwie władze: kościelną i państwową. Jednej powierzył Bóg sprawy Boskie, drugiej sprawy ludzkie. Każda z nich jest w swoim rodzaju najwyższa. Jedna i druga ma zakreślone granice, których się winna trzymać" (Leon XIII, enc. Immortale Dei).

Zdarza się jednak nieraz, że polityka dochodzi do ołtarza, wkracza w sferę sumienia, porusza sprawy wchodzące w zakres życia religijno-moralnego człowieka, — wtedy oczywiście Kościół ma obowiązek zajęcia się sprawą moralną zagadnień i wydarzeń politycznych. „Działalność Kościoła w koniecznym następstwie jego zadania i jego posłannictwa Boskiego sięgać musi wszędzie tam, gdzie chodzi o dobro dusz, o cześć lub obrazę Boga, o zachowanie lub łamanie praw Bożych i kościelnych, o zagadnienia wreszcie i sprawy nie zwykłe, materialne, mechaniczne, ale moralne lub z nieuniknionymi wpływami moralnymi, które nieuchronnie oddziaływują na jednostki, rodzinę, społeczeństwo" (List Piusa XI do kardynała Schustera z 26. IV 1931).

Wychodząc z tej ogólnej zasady, możemy teraz postawić pytanie: **Czy Kościół katolicki jako taki może zgłaszać swój akces do obozu politycznego, owianego choćby najszlachetniejszymi zamiarami? Otóż w myśl wskazań papieży jest to niemożliwe.** Leon XIII wyraźnie stwierdził: „Wciągać Kościół do jakiegokolwiek obozu politycznego z tym zamiarem, aby Kościół użyczył poparcia temu obozowi w pokonaniu przeciwników politycznych, jest jaskrawym nadużyciem religii" (Enc. „Sapientiae Christianae").

Podobnie jak Kościół, tak samo i **Akcja Katolicka** jako taka, w myśl zasady, wyrażonej przez Piusa XI „pozostaje ponad obozami politycznymi". Ojciec św. wyraźnie mówi: „Akcja Katolicka nie może być nigdy mieszana z obozami, które mają cele czysto polityczne" (List Piusa XI do kardynała Segury y Saenz).

Zachodzi drugie, związane z poprzednim pytanie: Czy poszczególni kapłani Kościoła rzymsko-katolickiego mogą wyrażać swoje upodobanie dla danego obozu politycznego? Zasadniczo mogą, ale z zastrzeżeniem. Pius XI w tej sprawie tak mówi: „Jak każdemu obywatelowi, tak i biskupom i proboszczom nie można zaprzeczać prawa do własnego zdania i upodobań politycznych, byle zgadzały się z nakazami sumienia i dobrem religii. Ale jest rzeczą oczywistą, że piastujący urząd biskupów i proboszczów powinni trzymać się z dala od walk partyjnych i pozostawać ponad wszelkim współzawodnictwem czysto politycznym". (Kard. sekretarz stanu w imieniu Ojca św. do ordynariuszy włoskich 2 października 1922).

Wreszcie trzecie pytanie: Czy poszczególni świeccy katolicy mogą należeć do obozów politycznych, odpowiadających ich osobistym zapatrywaniom? Mogą, a nawet powinni brać udział w życiu publicznym. Wskazania papieży wyraźnie wypowiadają się przeciwko obojętności katolików w sprawach politycznych. Leon XIII przypomina ten obowiązek akcji politycznej w encyklice „Immortale Dei" w ten sposób: „Ogólnie biorąc, odmowa udziału w sprawach publicznych była by równie naganna jak odmawianie współpracy dla dobra powszechnego, a to tym więcej, że katolicy na mocy samej nauki, którą wyznają, winni wypełniać ten obowiązek całkowicie i sumiennie".

Podobnie Pius XI ganiąc obojętność katolików względem wielkiej polityki, która jest życiem narodu, tak pisze: „Jakże można by nie zajmować się tymi najważniejszymi i największymi sprawami, w których obowiązek miłości czynnej staje się coraz większy i od których zależą te dobra, których nam Bóg udzielił: dobra domowe, prywatne i nawet sprawy religijne". (Przemowa do związku mężczyzn włoskiej Akcji Kat. 30. X. 1926 r.).

A więc zgodnie z orzeczeniem Piusa XI: „Nic nie wzbrania poszczególnym katolikom należenia do obozów politycznych, **których program i działalność nie są sprzeczne z prawami Boga i Kościoła".** (List Piusa XI do kardynała Segury y Saenz).

—oOo—

Z obcej niwy

Kongres w Manili

Ostatni Miedzynarodowy Kongres Eucharystyczny w Manili był — jak stwierdzają, europejscy jego uczestnicy w relacjach prasowych — przeżyciem niezwykłym. Nie był to już kongres białej rasy. — Większość uczestników stanowili ludzie ras kolorowych, ludzie Dalekiego Wschodu... Był więc ten Kongres potwierdzeniem „katolickości", czyli powszechności Kościoła.

Wszyscy wierzący cieszą się z powodu sukcesu kongresu, a z poruszenia opinii, które wywołał na Wschodzie wyciągają pomyślne wróżby dla idei misyjnej na przyszłość.

Kongres miał kilka bardzo podniosłych momentów, jak powitanie Legata papieskiego, przemówienia przedstawicieli jakiejś setki narodów (w imieniu Polski wygłosił je Ks. Metropolita Sapieha), końcowa procesja eucharystyczna i in. Wielkie wrażenie zrobiło również przemówienie radiowe Ojca św., który mimo choroby chciał w dniu 7 lutego przesłać swe błogosławieństwo i swe słowo uczestnikom kongresu.

Poniżej dajemy wyjątek z korespondencji, którą z kongresu przesłała francuska delegacja do dziennika „La Croix".

„Triumf zgotowany Chrystusowi Eucharystycznemu na progu dalekiego Pacyfiku, w odległości 16.000 kilometrów od Rzymu, niczym nie ustępuje triumfom kongresów w Europie, czy Ameryce, za każdym razem coraz wspanialszym.

W Manili na widok olbrzymiej monstrancji nad miastem, którą się spostrzega po przybiciu do portu, oraz pod wrażeniem rozległego placu Luneta, przemienionego na wielką świątynię, której sklepieniem jest błękitne niebo, — nasuwa się myśl, że Król Pokoju, któremu zostały oddane w dziedzictwie wszystkie narody świata, przybywa teraz właśnie do nas ze specjalnym posłannictwem.

Filipińczycy utworzyli na Dalekim Wschodzie pierwsze królestwo Jezusa Chrystusa. Zostali oni ochrzczeni kiedyś w żarliwej wierze starożytnej Hiszpanii, — mocarstwa, które rzeczywiście przemieniło ludność tubylczą swej kolonii w państwo cywilizowane i rozwijające się pomyślnie. Do Chrystusa zanosi teraz dziękczynienie 12 milionów wiernych wyznawców, którzy na archipelagu złożonym z 7.000 wysepek, od czterech wieków składają swój hołd Chrystusowi w 80 różnych językach.

Do nich, tym razem, przybyli liczni pasterze setek kościołów, które powstały niedaleko stąd, powiększając się bez przestanku na terytorium wielkiego kontynentu azjatyckiego. Przez długi czas ci chrześcijanie znosili prześladowania. Dziś jednoczą się, by iść na podbój mas azjatyckich. Ich biskupi są tam, przy legacie papieskim i nuncjuszu apostolskim, razem z kolegami przybyłymi z całego świata. Jest ich 150 w fioletowych kapach. Zgromadzeni na platformie przy wielkim ołtarzu zanoszą modły u stóp Zbawiciela, by Daleki Wschód przyjął zasady Królestwa Chrystusowego. Zbawca, z okazji triumfu, który Mu przygotowano na tej dalekiej chrześcijańskiej ziemi, zaprosił ich na samą granicę światów pogańskich.

Takie wrażenie odnieśliśmy w sekcji francuskiej, gdzie otoczeni wieńcem 20 biskupów dowiedzieliśmy się o wynikach misyjnych już osiągniętych i o zamiarach na przyszłość, projektowanych w Indochinach, Chinach i Japonii. Wyjaśniali to w przejrzystych statystykach: mgr. Chambon odnośnie do Tokio, mgr. Fouquet (Canton), mgr. Chaize (Saigon) i mgr. Tong (Phat Diem).

Na plenarnych zebraniach Chrystusowi Eucharystycznemu składało hołd o wiele więcej języków, niż słyszano w Wieczerniku w Zielone Święta. Najpierw dłuższe przemówienia wypowiedziano po angielsku i hiszpańsku, a więc w językach oficjalnych tego kraju. Następnie po pięć minut przeznaczono dla poszczególnych dialektów filipińskich. Uwzględniono nawet język najstarszy, dialekt filipiński, tak zwany „tagalog" używany dziś tylko w samej Manili. Dalej następowały języki: chiński, malajski, anamicki, japoński. Wreszcie do głosu dochodziły języki naszej malutkiej Europy... Biedna Europo! Właśnie przy tym porównaniu, wydawałaś się tak małą ze swoim skupiskiem 350 milionów ludzi, którzy przeważnie nie myślą o niczym innym, jak tylko o wzajemnym pożeraniu się. To, co dziś robią, pozbawia ich szacunku wobec 1 i pół miliarda tych tutaj braci, o których się mówi, że są mniej cywilizowani, w których jednak jest więcej prawdziwej ludzkości i mniej lekkomyślności, niż w Europie".